MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 55 WARSZAWA 25 GRUDNIA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

W WIECZÓR WIGILIJNY

W WIEKACH pierwszego chrześcijaństwa nowy rok rozpoczynano świętami Bożego Narodzenia. Wtedy właśnie w wigilię składano sobie najgorętsze życzenia i z pierwszą gwiazdą, symbolem tej, która wiodła pasterzy i królów do Betleemu, witano brzask radośniejszego jutra. Te życzenia nam pozostały i choć dziś nowy rok zaczyna się równo w tydzień po świętach — łamiemy się przy stole wigilijnym opłatkiem i życzymy sobie wzajemnie w ten właśnie wieczór.

Jest więc wprawdzie gwarny Sylwester i gorączkowe oczekiwanie uderzeń dwunastej, ale są i te jedyne w swoim rodzaju życzenia. Serce bije nam wtedy zupełnie inaczej i w duszy naszej rodzi się dziwne wzruszenie i przełom. Gest wzajemnego łamania się opłatkiem w szczupłym, drogim kręgu rodziny ma w sobie niemal coś dostojnie mszalnego i człowiek wierzy wówczas, iż w tej chwili słowa jego mają moc cudotwórczą. Cała nieukojona nigdy tęsknota za czemś dobrem, wielkiem i lepszem, cały wrodzony naturze ludzkiej altruizm wyładowuje się wówczas. I chwila ta jest jedyna w całym roku.

Bo rzeczywiście nowy rok zaczyna się w Boże Narodzenie. Mały Zbawiciel od dawna wyglądany przynosi z sobą nową epokę. Odnawia świat. Dzięki Niemu ma skończyć się raz na zawsze wszelkie zło i wszelka brzydota świata. Życie uzyskuje zupełnie nową treść i nowe miejsce w hierarchii celów. Naiwne kolędy, które po dziś dzień śpiewamy, wzruszająco mówią nam o tem. Zaczynać zawsze trzeba z wiarą i otuchą, że się uda, a Boże Narodzenie to chwile największej wiary, najwznioślejszych postanowień i największego szczęścia.

Ciche rodzinne święto, które nie wychodzi ze swoją radością na spotkanie ludzkim spojrzeniom i nie pragnie zgiełku i gwaru, ale chowa się zazdrośnie między najbardziej swoich i skromną dekorację własnego domu, ma urok największy. W taki właśnie sposób szuka się rzeczy najbardziej istotnych i patrzy wgłąb własnej duszy. Ale żeby było naprawdę dobrze i pięknie trzeba mieć głębię sobie coś do powiedzenia, mieć jakąś i jakieś wielkie życie poza sobą... I dlatego właśnie dzisiejszy mały, marny człowiek, wpatrzony tylko w siebie i beznadziejnie sobą znudzony, wprowadza nowy zwyczaj: — ucieka od świąt, od ich zadumy i od „krępującej" rodziny, by wieczór wigilijny spędzić gdzieś przy stole hotelowym, w przypadkowo dobranym gronie osób, „zabawnie" i wesoło, ale bez nastroju i jego szczęścia i bez jedynego na cały Boży rok mistycznego wprost drgnienia duszy.

Święta Bożego Narodzenia są bowiem świętami rodziny. Jednostka sama ich głębi nigdy nie pojmie, bo ich siła tkwi w tradycji a więc w dziedziczeniu, w paśmie ogniw i w tem, że serce wtedy kieruje się do kogoś. Trzeba wiązać swe serca wzajem, całym szeregiem miłości i przywiązań by czuć istotną rozkosz tych świąt. Tego dziś dzisiejszy człowiek nie lubi. Zanadto kocha fałszywą wolność egoizmu i braku ofiary. Ślizga się więc po powierzchni życia, nie patrząc w jego głębie, których się boi. Ale niestety życie płytkie i łatwe nie niesie radości i zamiast piękna rodzi tylko nowe skazy Doriana Graya. A że z jednos-

tek składa się społeczeństwo, więc coraz bardziej odczuwamy potrzebę odrodzeńczej kąpieli.

Potrzeba więc nam nowego. Wierzymy w nowe i chcemy lepszej przyszłości. O tym także mówią nam święta choinki — święta dzieci. Bo dziecko to symbol przyszłości i pochodu wieków, rękojmia kontynuowania wysiłków i zachęta do ich podejmowania, do oddychania szeroką skalą. Bo ktoś się przecież lepszych czasów doczeka i zegar dziejowy wybije wreszcie godzinę sprawiedliwości; a więc warto się trudzić i sprawiedliwość przyśpieszać, chociażby nawet i nie dla siebie.

I zawsze dochodzimy do jednego: nie trzeba myśleć tylko o sobie. Bez myślenia o drugich niema cywilizacji i społeczeństw. O tem człowiek dzisiejszy zbyt łatwo zapomina i stąd cała głębia kryzysu. Święta się odwołują do człowieka pełnego i prawdziwego, jedynego który może coś odrodzić.

Bo życie składa się z ciągłych odrodzeń, przerabiających najprzód jednostkę, a później pracowicie krąg za kręgiem: rodziny, społeczeństwa, narody i cywilizacje. Jak kamień rzucony do wody zatacza coraz szersze koła, świadcząc, że nie utonął w głębiach bez śladu, tak też i idea w głębiach dusz ludzkich posiana nie ginie. Właśnie najlepiej czuje się na głębi i głębi instynktownie szuka.

Tyle odrodzeń przeżyła ludzkość, że aż pesymistycznie dziwić nas może, że jeszcze ich dzisiaj potrzeba. Ale pesymizm jest złym doradcą. Dużo lepiej pomyśleć inaczej —, że jednak ludzkość ze wszystkich swoich upadków się dźwigała i jednak zawsze wyżej.

Dzisiaj więc szukamy okresu nowej organizacji chrześcijańskiej, czyli nowego średniowiecza, jak chcą niektórzy. Chcemy się odrodzić. I dobrze pamiętać, że i tamto stare rozpoczęło się odrodzeniem. Gdy po zwycięstwie na moście Mulwijskim i zwycięstwie chrystianizmu za Konstantyna narodziła się nowa epoka, to była epoka chaosu. Barbarzyńska nawała świeżo ochrzczonych pogan zmajoryzowała nieliczne prawdziwie chrześcijańskie ośrodki, a z drugiej strony, to co było istotnie kulturalne na szczytach, było jeszcze pogańskie. Dało więc to w rezultacie epokę wprawdzie barwną, ale ponurą, pełną nieładu i niepokoju i bez wyraźnego oblicza. Świetnie nam ją odmalował Mereżkowski, a u nas po próbach Jeske-Choińskiego świeżo Parnicki w „Aecjuszu".

Ochrzczony więc już i niby całkiem po katolicku rządzony świat, daleki był jednakże od krzyża. Ale przyszło w końcu zbawcze odrodzenie i jak zawsze zaczęło się w duszy człowieka. Święty Benedykt z Nursji stworzył nowy zakon i poszedł w świat z hasłem „*ora et labora*". Mnisi jego reguły nie zamykali się od świata i niewyodrębniali w eremach od społeczeństwa, ale podnosili je i cywilizowali. Klasztory benedyktyńskie, a później cysterskie były ośrodkami kultury nie tylko duchowej i duchownej, ale i nawskroś świeckiej, gospodarczej i społecznej. Społeczeństwa w ten sposób chowane dojrzewały zwolna do wielkich zadań. Przyszedł więc pierwszy renesans karoliński i w święto Bożego Narodzenia, przeszło 1100 lat temu, papież odnawia cesarstwo rzymskie, mające łączyć całą rzeszę katolickich narodów dla obrony wspólnego dobra krzyża. A gdy później podniesiony wtedy sztandar pierwszej prawdziwie pełnej i całkowitej cywilizacji katolickiej się zachwieje, przyjdzie reforma kluniacka i znowu człowiek — święty Odilon da początek wielkiemu ruchowi, który ożywi wykolejony świat. W tych właśnie czasach Polska buduje swą osobowość i współpracownik Bolesława Chrobrego święty Wojciech jest entuzjastą kluniackich idei. Polska swą wielkość budowała na słusznym kamieniu.

W szarości więc dnia dzisiejszego wspominając te wszystkie chwile dawnej wielkości i marząc o nowych, czekamy na odrodzenie i wierzymy, że ono przyjdzie. Tego sobie przy stole wigilijnym życzymy, modląc się o Polskę wielką i sprawiedliwą, zawsze wierną i matkę wiernych. O nowe *civitas Dei* i nowy *hortus sanctorum* za naszą sprawą. O wypełnienie misji dziejowej, w myśl mickiewiczowskiego apostolstwa, by wprowadzić ducha chrześcijańskiego do polityki.

KAROL STEFAN FRYCZ

KOLĘDA

Bóg się ku nam zniża, biorąc ludzkie ciało,
A więc nam ku Bogu podnieść się przystało.

Dzieciątko przybywa do nas prosto z raju,
Baczmyż, by Mu dobrze było w polskim kraju.

Oczyść z gnoju, bracie, w sercu swym stajenkę,
Abyś godnie przyjął Najświętszą Panienkę.

Nałóż czystej słomy i wonnego siana,
Abyś godnie przyjął Niebieskiego Pana.

Śpiewaj Mu kolędy, niechaj słodko lula
Maleńki Jezunio i Jego Matula.

Ucz się czci dla Niego od osła i wołu
I serdecznym tchnieniem ogrzewaj pospołu.

Radujmyż się, ludzie, razem z bydlątkami,
Że Wcielone Słowo zamieszkało z nami.

Chwała na niebiesiech Bogu Wszechmocnemu,
A na ziemi pokój stworzeniu wszelkiemu!

ARTUR CHOJECKI

POEZJA KOLĘDY POLSKIEJ

(PRÓBA SYNTEZY)

SIADAJĄC do tej pracy, zadawałem sobie pytanie, czy pisanie o kolędzie polskiej nie jest anachronizmem. Czy istotnie jest ich tak wiele i, co najważniejsza, czy posiadają one wartość poetycką. Im bardziej zagłębiałem się w teksty, badając ich budowę i wyraz, tem mocniejsze stawało się moje przekonanie, że twórczość kolędowa jest jednym z najbardziej swoistych, nawskroś oryginalnych wypowiedzeń duszy naszego ludu.

Pochodzenie słowa kolęda tonie w mrokach przeszłości. Niektórzy badacze odnoszą je do słowiańskiego bóstwa Kolady, inni z Brücknerem sięgają aż do czasów rzymskich. Rzymianie, jak wiadomo, nazywali datę rozpoczynającą nowy miesiąc, Kalendami (*calendae*). Ponieważ zaś dany kalendarz kościelny rozpoczynano od dnia Bożego Narodzenia, „Kalendy" wypadały więc równocześnie. Nie będę się spierał o słuszność tych przypuszczeń, przejdę zato do faktów.

Jest rzeczą pewną, że pierwszym twórcą hymnów o Bożem Narodzeniu był św. Franciszek Seraficki. Żywot jego, skreślony przez św. Bonawenturę opowiada nam obszernie o tych wczesnych, jakże poetycznych kolędach. Spiewali je bracia klasztorni o północy na tle zbudowanej w ogrodzie klasztornym groty, w otoczeniu żywych zwierząt, umyślnie sprowadzonych do stajenki. Nic więc dziwnego, że zakon franciszkanów rozpowszechniał następnie te śpiewy kolędowe (jeszcze — łacińskie, w całej Europie. Na schyłku XV stulecia przedostały się one w formie misteriów kościelnych do Polski. Wykonawcami tych pobożnych przedstawień byli oo. franciszkanie. Glogier opisuje, że odbywano je, po wyniesieniu *Sanctissimum*, w głównej nawie świątyni. Misteria powyższe przetrwały aż do czasów Reformacji, a następnie z powodu zeświecczenia, przeniesione zostały nazewnątrz kościoła. Tu już teksty łacińskie przestały obowiązywać. Lud polski bierze coraz żywszy współudział w twórczości kolędowej.

Na przestrzeni XVI i XVII-go stulecia zjawiają się z każdym rokiem coraz to nowe, oryginalne teksty polskie, poświęcone uroczystości Bożego Narodzenia. Odbija się w nich nie tylko żywa wiara naszych praojców, ale i piękno mowy w okresie złotym, echa epoki makaronicznej, wreszcie zagmatwany i napuszony styl czasów saskich. Tekst znajduje odpowiednik w melodii, te dwa czynniki zespalają się coraz bardziej. Przy końcu XVII-go stulecia twórczość kolędowa staje u szczytu, a liczba tych pieśni przekracza 500. Pisząc o nich, zmuszeni jesteśmy grupować je w cykle, wybierając z pośród nich te, które są najbardziej dla danego okresu typowe. Chcąc omówić je bliżej, należałoby poświęcić tym sprawom sporą książkę, nie zaś — artykuł.

Z konieczności wskażemy czytelnikowi zaledwie fragmenty kolęd najbardziej cennych. Jedną z cech charakterystycznych jest odbicie muzyki w słowach tekstu. Bo też muzyka, zarówno chóralna, jak instrumentalna, towarzyszyła przez długie lata wspomnianym przezemnie uprzednio misteriom kolędowym. Z nieodzownym orszakiem muzyków szli — w wyobraźni ludu — pasterze do stajenki Betleemskiej. Wszystko, co żyje, śpiewa na chwałę Jezusowi:

... W dzień Bożego Narodzenia
radość wszelkiego stworzenia
ptacy w szopę się zlatują,
— Jezusowi przyśpiewują...
Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem
Szpak — tenorem krzyknie czasem,
a gołąbek — gruchnie basem — —

W tym naiwnym „kwartecie wokalnym" widać żywe odbicie przyrody a zarazem sporo równie naiwnego humoru wiejskiego.

Przykładów muzyczności tekstu mamy bardzo wiele; A zatem:

a) ... Porwijmy instrumenta a porzućmy lamenta,
Wszyscy wesoło grajmy Panu swemu,
dla nas dziś narodzonemu...

b) ... Przybieżeli do Betleem pasterze,
przygrywając Dzieciąteczku na lirze...

lub też

c) ... Pasterze, pasterze, proszę was dla Boga,
pożyczcie mi swych dudek i koźlego roga... (i t.d.),

Zaznaczyłem uprzednio, że obrazy muzyczne są w kolędzie polskiej bardzo liczne. Swiadczą one wyraźnie o wrodzonej muzykalności ludu naszego. Najpiękniejsze teksty znajdziemy w kołysankach, gdzie fantazja bezimiennych poetów z wielką tkliwością snuje iście pastelowe obrazy:

Lulajże Jezuniu, moja perełko,
lulaj ulubione me pieścidełko,
lulajże, Jezuniu, lulajże lulaj,
a Ty Go Matulu w płaczu utulaj...

Inna strofa wzrusza nas swoją prostotą i szczerym liryzmem:

... Jezus malusieńki leży nagusieńki,
płacze z zimna — nie dała Mu Matusia sukienki
bo ubogą była, rąbek z głowy zdjęła
w które Dziecię uwinąwszy, siankiem Go okryła..,

Długi szereg kolęd zajmuje się najdrobniejszemi szczegółami Dzieciątka. Jego sukienka, zmarznięte rączyny, pieluszki a nawet siano wypełniające stajenkę stają się tematem kolędy. Oto parę przykładów:

... Na tak ciężkim mrozie drżysz bez pościółeczki,
nie masz się czem zagrzać, nie masz kąpiółeczki...
Śliczna Panienka Jezusa zrodziła
W stajni powiwszy, siankiem Go okryła
O siano, siano, siano jak lilija,
na którem kładzie Jezusa — Maryja...

Po każdej z kolejnych strof powtarzają się, niby refren słowa „o, siano", ozdobione w coraz to piękniejsze porównania —:

... O siano, siano, co ci się zdarzyło,
że będąc zielem — w kwiatyś się zmieniło...
O siano, siano — królewskie bławaty
przechodzisz w cenie świata majestaty... (i t. d.)

W przeciwstawieniu do tych naiwnych rymów staropolskich dziwnie pretensjonalną wydaje nam się twórczość kolędowa z epoki makaronizmu; poprostu trudno nam ją zrozumieć:

... *Angelus* tak *polonis* mówił właśnie *his verbis;*
Nuntio vobis wielkie wesele,
raz do roku to bywa: *omnibus* niech nalewa,
Quis łaskaw miodu, wina nalewaj,
Nam — kolędę dobrą daj,
Felix na świecie trwaj!...

Najwięcej humoru mieści się w tych kolędach, w których mowa o żydzie. Stwierdzając tutaj, że zagadnienie „mniejszości" narodowej istniało już w odległych czasach.

(Chłop): — Żydzie, żydzie, Mesyasz się rodzi
więc Go tobie witać się godzi — —
(Żyd): Będziem witać, będziem kłaniać, jeśli co godnego,
Lai, lai, lai — jeśli co godnego...

Jeszcze bardziej dosadna jest druga strofka:

(Chłop): — Żydzie, żydzie, króle go witają,
mirrę, złoto i kadzidło dają — —
(Żyd): — Wiem ja o tym, u mnie w kramie byli,
Trochę mirry i kadzidła tamże zakupili — (i t. d.).

Duży odsetek ogółu kolęd stanowią regionalne. Kaszubskie wnoszą ze sobą obok humoru — odbicie praktyczności i zalet gospodarskich:

... Gdybyś się w naszych Kaszubach urodził
nie takbyś był miły Jezusie zagłodził:
na pierwsze śniadanie miałbyś przysmażanie,
z masłem bułeczkę, miodu szklaneczkę,
Na obiad okraszoną kaszę jęczmienną,
rosołem żółtym tłusto polaną,
z soporem gęsiny i z szperką jarzyny
z imbierem flaki —
Złeż to przysmaki?

Kolędy krakowskie cechuje komizm sytuacji, tematy ich mogłyby posłużyć do inscenizacji jasełkowych. Cytuję jeden z fragmentów kolędy śpiewanej tam po dzień dzisiejszy:

... Jezus maluśki, złe ma pieluszki,
Matuchna Mu je naprawiła
tylko, że gdzieś w sianku... igiełkę zgubiła —
Więc Józef stary przez okulary
patrzy i szuka igły nieboraczek
a Dziecię płacze i kwili, jak żaczek...

Mógłbym podać dziesiątki przykładów kolęd regionalnych, zaczerpniętych z Małopolski, Poznańskiego, a nawet z dalekiej Ukrainy. Podobnie jak w doborze tematu, tak i w formie poetyckiej widzimy wielką rozmaitość. Może najczęstszym jest czterowiersz, spotykają się jednak i oktawy, tercyna a nawet strofa saficka.

Wraz się zebrali oni pastuszęta,
pędzą na pole swoje bydlęta,
w zimowy wieczór Bożego święta...

albo też:

... Pasterze wstawajcie, witajcie Pana!
pokłon Mu oddajcie wziąwszy barana,
Skoczno Mu zagrajcie, głosy — zaśpiewajcie
Zgodnymi!

Obok rymów pospolitych zdarzają się w kolędach dość często — asonanse oraz bardziej wyszukane zestawienia końcówek. Oto parę przykładów:

... Anioł pasterzom mówił
Chrystus nam się narodził...

albo też,

... Wejdę w szopę — mali anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę
Dzieciątku na kolebkę...

Istnieje również szereg kolęd, które w przeciwstawieniu do muzycznych nazwałbym — malarskiemi. Mam przez to na myśli wielką barwność narracji, tworzącą już w granicach jednej zwrotki żywy i plastyczny zarazem obraz. Np.:

... Dzisiaj w Betleem wesoła nowina,
że Panna czysta porodziła Syna —
Chrystus się rodzi — świat oswobodzi
Anieli grają,
Króle witają,
pasterze — śpiewają,
bydlęta — klękają...
Cuda, cuda ogłaszają — —

Wszystkie zacytowane tu fragmenty kolędowe są dziełem bezimiennych twórców ludowych. Można się tego dopatrzeć zarówno w naiwnem podejściu do przedmiotu, jak w wielu usterkach rymotwórczych. Głęboka i szczera wiara z jednej strony, z drugiej zaś fantazja ludu polskiego i jego muzykalność przyczyniły się do powstania tak wielkiej ilości nie spotykanych gdzieindziej pieśni kolędowych.

Niewielka grupa tak zwanych kolęd artystycznych, czyli pisanych przez poetów (jak np. „Bóg się rodzi"..) zaczerpnięta została z pewnością z tamtych prymitywów ludowych.

Piękno poetyckie kolędy zwracało uwagę niektórych poetów i historyków literatury. Pierwszym z nich był Adam Mickiewicz, który w wykładach swoich w Collége de France poświęcił kilkakrotnie uwagę rozbiorowi folkloru kolędowego. Wślad za nim poszedł Lucjan Siemieński, Glogier i kilku innych. Niestety, kolęda nie jest w Polsce należycie docenianą. Wstyd powiedzieć, że nie mamy ani jednej większej pracy poświęconej rozbiorowi poetyckiemu i muzycznemu pieśni kolędowych. Znajomość tekstów ogranicza się do co najwyżej kilkunastu kolęd, inne zwolna zacierają się w pamięci współczesnych. A przecież posiadamy ich kilkaset, pochodzących ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej: dostojne i skupione w kontemplacji religijnej — z Poznańskiego, żartobliwe — z Małopolski, wreszcie taneczne z b. Kongresówki. Jedne z nich są to chorały, inne są kołysanką, jeszcze inne — a tych jest najwięcej, noszą formę poloneza, oberka, lub mazura. Niektóre z nich — o czem mało komu wiadomo, były tańczone na balach dworskich w epoce Stanisławowskiej (Naruszewicz: Historia).

Piszący te słowa będzie szczęśliwy, jeżeli powyższa próba syntezy w dziedzinie twórczości kolędowej w Polsce pobudzi bardziej powołane pióro do skreślenia obszernego studium poświęconego pięknu kolędy, na które zasługuje ona w całej pełni. Oczekujemy na tę rozprawę oddawna, zwłaszcza, że od czasów Mickiewicza i Siemieńskiego, pisarze polscy zbyt mało uwagi poświęcają pięknu rodzimego folkloru.

W—b.

ITALIA DZISIEJSZA

ITALIA dzisiejsza — to Italia faszystowska. O tem jak faszyzm wyrwał Włochy z bezwładu i anarchii powojennej; na jakich zasadach oparł ustrój państwowy i społeczny narodu; jakiemi środkami wzmagał jego siły fizyczne i duchowe, aby mógł śmiało kroczyć po drodze swoich przeznaczeń — opowiada wymownie, nietylko pięknie napisana, lecz i dokładnie informująca, książka Antona Zischki, świeżo bardzo starannie przełożona na polski. (P. Antoni Zischka „Italia Dzisiejsza" z 25 ilustracjami, przełożył Jan Furuhielm, str. 351. Nakładem wydawnictwa „Biblioteka Wiedzy", Trzaska, Ewert i Michalski S. A. Warszawa).

Po przeczytaniu tej książki każdemu, nieuprzedzonemu, jasnem się stanie — jak wielkiego dzieła dokonał faszyzm we Włoszech w ciągu, piętnastoletnich już, swoich rządów, na jak wysoki poziom podniósł twórczość zbiorową narodu, i jak ogromne możliwości dalszego rozwoju oraz potęgi otworzył przed nim.

O tem wszystkiem jednak nieraz była mowa na łamach naszego pisma, tu więc zwracam uwagę czytelnika na sprawy mniej mu znane, a znakomicie przedstawione w książce A. Zischki.

Ostatnim, najpełniejszym wyrazem mocy odrodzonych Włoch była zwycięska wojna abisyńska, którą okupiły Włochy, jak mówi autor,— czterdzieści lat swej rezygnacji i zastoju, oraz że po piętnastu stuleciach znów zajaśniały blaskiem starożytnego Rzymu. Ale, właśnie, ten blask zaczyna zbyt razić tych, co do niedawna nie wiele sobie robili z kolonialnych wysiłków włoskich w Afryce, bądź z uśmiechem politowania, przewidując niepowodzenie, im się przyglądali.

Z chwilą gdy król włoski zaczął nosić tytuł cesarza Abisynii, a Włochy zostały postawione na równym poziomie z cesarstwem Indii, dla Anglii, na gruncie afrykańskim, wyrósł nagle niebezpieczny sąsiad, który w razie danym może wymierzać ciosy w nerw życia imperium brytyjskiego. Tego rodzaju intruzów i niepożądanych konkurentów Anglia zawsze uważała za swoich śmiertelnych wrogów i dążyła do ich unieszkodliwienia. Wrogi względem Włoch nastrój Anglii objawił się, jak wiadomo w dość nawet ryzykowny sposób, podczas wojny abisyńskiej, a stan rzeczy obecnie jest taki, iż może tylko wzrastać, pomimo te lub inne układy pomiędzy konkurentami, i trwać tak długo, dopóki konflikt nie zostanie gruntownie rozstrzygnięty. Na czyją stronę — Bóg to raczy wiedzieć?

Kto raz ośmielił się, jak to zrobiły stanowczo Włochy, przeciwstawić się Anglii, ten powinien przygotowywać się do walnej z nią rozprawy. Powodów do zatargów na terenie afrykańskim jest wiele. Zdaniem autora nieuniknionym, między innymi, będzie zatarg o wody jeziora Tsana. „Wówczas — mówi Zischka—ważyć się będą losy włoskich plantacyj bawełny, w Abisynii i angielskich w Sudanie. Albo — albo, gdyż dla tych i tamtych nie starczy wody w Nilu. Albo równiny Gondaru pozostaną jałowe, albo Sudan zamieni się w pustynię. Jaki będzie koniec tej walki? To pewna, że Abisynia jest terenem, na którym nietylko zetrą się interesy Włoch i imperium brytyjskiego w zakresie bawełny, lecz rozstrzygną się losy tych krajów". (str. 191).

Ten motyw przyszłego zatargu włosko-angielskiego przewija się wciąż przez książkę autora, stąd też zapytuje on często—na jakie środki i siły mogą liczyć Włochy w walce w trudnościami, będącemi następstwem żapanowania w Abisynii; jakie punkty oparcia posiadają one w świecie, etc? Na tego rodzaju pytania odpowiedź autora, po dokładnem zbadaniu wszelkich możliwości włoskich, wypada, narazie, najczęściej dość korzystnie dla Włoch.

Rząd faszystowski, zdając sobie dobrze sprawę z groźnej dla Włoch sytuacji, jaka wytworzyła się dla nich po wcieleniu Abisynii do swego państwa, uwagę swoją skupił tymczasem na najbliższych zadaniach, jakie stanęły przed nim, mianowicie na kolonizacji zdobytego kraju, oraz eksploatacji jego bogactw.

Podbój kolonii to jeszcze nie wszystko! Zdobywca musi wciąż walczyć nietylko z krajowcami, z klimatem i obcemi warunkami bytu, lecz także z własną bezwładnością, lenistwem i brakiem wyobraźni. Ale, zdaniem autora, Włosi w walce tej wyprzedzają większość innych narodów posiadających kolonie. Są ruchliwi i wytrwali, a także od wielu pokoleń przyzwyczajeni do szukania szczęścia na obczyźnie. Nie czekając na żadną podnietę już w połowie 1936 roku wpłynęło do rządu 600 tysięcy podań o pozwolenie na wyjazd. Zamiast, jak dawniej, do obcych krajów, emigracja włoska skierowała się teraz z radosnym zapałem, do własnej kolonii. W 1936 r. przybyło z górą 100 tysięcy osadników włoskich, a jednocześnie poczyniono przygotowania, aby ta nowa kolonia mogła wchłonąć do końca 1937 r. jeszcze pół miliona, plan zaś penetracji gospodarczej przewiduje, że w 1940 r. powinno osiedlić się w Abisynii pięć milionów białych.

Czy wystarczy ziemi dla wszystkich? Narazie trzon osadnictwa włoskiego stanowią wywłaszczone olbrzymie dobra Negusa, wielu „rasów" i innych władców feudalnych. Poza tem w kraju, gdzie trzecia część ziemi urodzajnej leży odłogiem, powinno jej wystarczyć dla wszystkich.

Obok gospodarstw chłopskich powstanie także większa własność ziemska. Włosi zamierzają stosować w rolnictwie metodę syntetyczną. Skupić uprawę bawełny i kawy np. w większych majątkach, a hodowlę zboża, warzyw i owoców w mniejszych gospodarstwach. System ten wypróbowali już w niezwykle żyznej prowincji Kaffa. (Prowincja ta, mówiąc nawiasem, może sama pokryć całe zapotrzebowanie Europy na kawę).

Co się tyczy bogactw kopalnianych Abisynii, to są one również ogromne i mało wyzyskane.

Ich eksploatację prowadzi włoskie przedsiębiorstwo państwowe („*Azienda Mineraria Africa Orientale*"), inspektorat górniczy oraz kilka przedsiębiorstw prywatnych, z których jedno np. rozporządza kapitałem 200 milionów lirów. Nie mówiąc o wydobywaniu kruszców szlachetnych, jak platyna i złoto, Włosi rozpoczęli w 1936 r. eksploatację kopalń ołowiu, miedzi, żelaza, manganu, węgla, uranu (zawierającego radium), azbestu, soli potasowych etc...

W kraju, tak zaniedbanym od wieków jak Abisynia pod względem komunikacyjnym, a przytem tak odległym od kraju macierzystego (4000 kilometrów), trudności kolonizacji i eksploatacji mogą być opanowane przez stworzenie odpowiadającej sytuacji sieci dróg. W tej mierze już podczas wojny zrobiono wiele, ale to nie wystarcza. Wobec tego przedsiębiorstwo drogowe („*Azienda Autonoma statale della Strada*"), zatrudniając 22 tysiące robotników włoskich i 8½ tys. krajowców, wybudowało szosy wojskowe dla autobusów. W lutem 1937 r. otwarto dla ruchu osobowego linię Massaua — Abmara — Makalle — Dessie — Addis Abeba. Jednocześnie utworzono anglo - włoskie towarzystwo przewozowe, które utrzymuje ruch pomiędzy Harrarem a portami brytyjskiemi Leibą i Berberą.

Poza tem, niezależnie od wielkiej drogi do Massauy, zbudowano bocznicę do Assabu, mającą współzawodniczyć z koleją francuską (Dżibutti — Addis Abeba). Następnie rozpoczęto budowę dróg do okręgu górniczego Wallega nad granicą Sudanu, do Dżimny i jezior na południu Abisynii, tudzież za pomocą szosy południowo - wschodniej połączono Etiopię z drogami Somalii. Przy wszystkich tych szlakach powstały hotele i domy wypoczynkowe, w których udział skarbu państwa wyraża się sumą do 12 milionów lirów.

Wśród tego wszystkiego wypadło budować mnóstwo mostów, grobel i ścian oporowych, przyczem brakło materiałów dla tych robót. Budowano więc cementownie, cegielnie i tartaki. Zakładano gorzelnie, aby używać spirytusu dla rozcieńczania ropy w silnikach spalinowych i zmniejszać przywóz benzyny. Każda fabryka wymagała nowego źródła energii. Budując zakłady wodne, zbadano źródła energii i przekonano się, iż w Abisynii niezwłocznie można wyzyskać olbrzymie siły wodne, ocenione na 4 miliony K. M. Stąd więc na początku 1937 r. rozpoczęto budowę centrali wodnej nad jeziorem Tsana, a w Tigre wyzyskano energię rzeki Takari, żeby zaopatrzyć w prąd elektryczny wielkie połacie tej bogatej krainy, której klimat jest najmniej uciążliwy dla białych.

Jeśli chodzi o bawełnę to za kilka lat będą mogli Włosi uprawiać ją na 200 tysiącach hektarów w Dessie, Gondarze i okolicach Addis Abeby. Pożyczek na eksploatację Abisynii udziela wyłącznie państwowe tow. finansowe, założone w 1936 r. Operacje pieniężne przeprowadza Bank Rzymski, mający oddziały w głównych miastach kraju. Wyszczególniliśmy tu główniejsze rzeczy, żeby dać niejakie pojęcie o niezwykłym dynamizmie narodu włoskiego i zabiegliwości jego rządu. „Zdawało się — powiada autor — że potrzeby Abisynii przerastają siły Włoch. Ale kierownicy Włoch stoją na wysokości zadania i zdają sobie sprawę, że od nowej kolonii zależy byt imperium". Rząd włoski więc ujął w swoje ręce kolonizację Abisynii, w kolonii włoskiej rządzi jedna wola, jeden system, jeden cel, którym jest wielkość Włoch. Ale najsprawniejszy i zespolony jaknajściślej z narodem rząd, jak to ma miejsce we Włoszech od czasu wprowadzenia ustroju korporacyjnego, nie sprosta zadaniom, jakie stoją przed nim w Abisynii; nie będzie mógł kolonizować i wyzyskiwać jej wielkich bogactw, jeśli przez dłuższy okres czasu nie będzie mógł oddać się pracy pokojowej. Kolonizacja i eksploatacja Abisynii—nie mówiąc w kapitałach — wymagają długotrwałego pokoju. Pieniądze mogą się znaleźć, a ich brak, w najgorszym razie, można z powodzeniem w wielu wypadkach, jak to wykazała wojna, zastąpić „mózgiem" (skuteczna walka z sankcjami), którego Włosi mają więcej niż kapitałów, pokoju wszakże niczem nie da się zastąpić. Czy jednak świat udzieli Włochom potrzebnego im czasu i pokoju? Przewidywania autora pod tym względem są bardzo pesymistyczne.

Rozmaici rzeczoznawcy — a do nich można i autora zaliczyć — są zdania, że nie dane będzie Włochom korzystać z dobrodziejstw czasu i pokoju, że Anglia, ta najgroźniejsza ich rywalka, nie dopuści, by Włochy, niebezpiecznie dla niej, urosły w siłę. Więc cóż? Prędzej czy później „nieunikniona" rozprawa orężna Włoch z Anglią.

Że Włochy, nosząc się oddawna z myślą zdobycia dla siebie w Afryce obszarów kolonizacyjnych, działały zgodnie z powyższą ewentualnością, o tem wiele rzeczy ciekawych dowiadujemy się z książki autora.

Rozważając wzajemną sytuację obu krajów, daje on, jak na dzisiaj, względną przewagę Włochom. Wypływa ona, między innemi, stąd, że Włochy są młodem państwem kolonialnem, podczas gdy Anglia starem, a im dłużej ludność tubylcza—utrzymuje autor—znajduje się pod obcem panowaniem, tem dokładniej poznaje wartość obietnic swoich władców, ich taktykę i wszelkie ich słabostki. Dalej: Włosi mają za zadanie trzymać w karbach 12 milionów tubylców, oddzielonych niekiedy od siebie rozległemi pustyniami, przy tem wszystkie kolonie włoskie znajdują się w Afryce i do nich można dotrzeć w ciągu 15 godzin lotu. Anglia natomiast ma prawie 400 milionów tubylców, a jej obszary kolonialne są daleko, i są rozrzucone po całej kuli ziemskiej. I to jest nie bez znaczenia, że sympatie, zwłaszcza świata Islamu, objawiły się w koloniach ostatnio z większą siłą wobec Włoch niż względem Anglii. Ale, i w tych stosunkach, najważniejszą bodaj jest sprawa komunikacji. Przewidująca „polityka" drogowa Włoch w Libii jako „odskoczni do Egiptu i drogi do Abisyni" — jak nazywa Libię autor— sprawiła, iż, na wypadek konfliktu z Anglią, Włochy mają do Sudanu tylko 500 km. morzem i 2000 lądem, Anglicy zaś, w razie zablokowania kanału Sueskiego, — morzem (dokoła Afryki) 18 tysięcy km., a lądem (przez ewentualny korytarz włoski) 4 tys. km. razem 24 km. A oto jeszcze jedna ważna okoliczność: przerwanie Włochom komunikacji morskiej na szlaku Sycylia—Pantellaria—Libia, wydaje się trudne do urzeczywistnienia (właśnie z powodu bazy lotniczej na Pantellerii i wybornego lotnictwa), podczas gdy dojazd do Egiptu mógłby być Anglikom odcięty z obu stron, gdyż i Babel Mandeb nie należy już wyłącznie do nich. Okazuje się, iż Włosi, pozyskawszy 950 km. wybrzeża francuskiej Somalii, posiadły w ten sposób jeden z najważniejszych punktów strategicznych na kuli ziemskiej, wyspa Doumeira bowiem może być łatwo przekształcona na „Gibraltar Morza Czerwonego", i prace w tym celu rozpoczęli Włosi już w styczniu 1936 r.

Jak widzimy Włochy czuwają i zabezpieczają się na wielu nerwowych punktach posiadanych obszarów. Można jednak zapytać rzeczoznawców:

czy to wszystko wystarcza by odstraszyć przeciwnika i zapewnić sobie oraz światu na dłuższy czas pokój? Jeden z owych rzeczoznawców, rozważając zagadnienie Morza Śródziemnego (p. Tardieu w rozprawie „*Revue des deux Mondes*", zeszyt 15-go listopada 1938 r.), przypomina, że do niebezpieczeństwa częstych rozruchów kolonialnych dołączają się od 20 lat dla państw Europy dwa inne ryzyka, mianowicie: bolszewizm rosyjski i kapitalizm amerykański, na co już zwracał uwagę w 1932 r. znany publicysta włoski, Francesco Coppola. Otóż „ryzyka" owe (w znaczeniu groźby) dają się odczuwać w Afryce śródziemnomorskiej. Wobec tego, dowodzi Tardieu konieczności zgody pomiędzy trzema wielkiemi mocarstwami afrykańskiemi i śródziemnomorskiemi (Anglia, Francja, Włochy), gdyż każdy konflikt afrykańsko-śródziemnomorski stałby się natychmiast europejskim. „Istnieją tylko trzy wielkie mocarstwa europejskie i afrykańskie — kończy Tardieu. Mogą one, gdy są w zgodzie z sobą obyć się bez innych, każde jednak nie może obejść się bez pozostałych". Bardzo to słuszne. Ale, Tardieu i Coppola zapomnieli o jednem jeszcze „ryzyku",—jakiem jest prowokacyjny „dynamizm" pewnego państwa, co nie jest ani śródziemnomorskie ani afrykańskie, wszakże tym ostatnim pragnie wciąż być, i ma nadzieję niem zostać. To państwo leży na osi Rzym — Berlin. Wobec tego, jakże trudno będzie Włochom, dopóki powyższa oś jest nienaruszona, uzgadniać się z dwoma innemi państwami afrykańsko-śródziemnomorskiemi. A przy tem sami Włosi zwiększają nieoględnie owo „ryzyko", wpuszczając np. Niemców do swego Jubalandu. Nie ma potrzeby mówić długo o tem, że „Italia dzisiejsza", nasycona pod względem kolonialnym, nie powinna narażać „bytu imperium" nowemi fantastycznemi uroszczeniami zmniejszającemi szanse, tak dla niej niezbędnego, dłuższego pokoju.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

SŁOWO O POEZJI

1. POETA

Życie w swej duszy skupia, jak światło w soczewce;
owija je na ręce, jak sztandar na drzewce.
Historia w ludziach i w miastach narosła
w boleściach matek i pożogach bitew —
w nim zacisznie, winogronnie owocuje.
On ją sobie wytłacza i klaruje
i napełnia ducha
łaską baśni — jak puchar.
I pragnie, aby z niego
usta ludzkości mogły pić bez końca
moce kochania i heroizmu,
któremi żyje — w słońcu i męstwie,
roztrzaskiwana burzą na szczytach,
jak bór dębowy
Ojczyzna.
Wiersz wynurza się, jak Wenus z duszy,
w której, niby w spokojnym jeziorze
odbija się cały świat.
Wiersz toczy się, jak księżyc,
sączy, jak miód z plastra
i dymi, jak ofiara
pogańska — *ad astra*,
— żeby odesłać soki
jak liść przed uschnięciem
do pnia swojego narodu,
ażeby ująć ten zachwyt,
pławiącej się w blaskach duszy
i tę modlitwę o jedność i życie
i to przeczucie śmierci i Boga
którego człowiek żadną inną sztuką
na ziemi wyrazić nie zdoła.

2. UTWÓR

Kto jestem? Kryształ? Cud natury?
Tchnienie ludzkie, wciosane w skałę
pracą pokoleń robotników?
Myśl wiekuista? Pomnik, który
zasypał lotny piach po gardziel?
Sterczący z ziemi mundur ciury,
szpica, walcząca w awangardzie?
Grobowiec bóstwa? Człowieka? Lwa?
Kształt co się kruszy? Duch co trwa?
Sekret, jak wszystko, co duchowe?
Widzicie tylko moją głowę
w gwiazdach, kapiących jak żwir w klepsydrze.
Wieczność opływa mnie milcząca.
Wieczność w mych oczach lśni — stygnąca.
Wieczność mnie z ziemi całego wydrze
i pokaże, czy w głębi chowam
pod lewą łapą kościół słońca...
— Patrzcie mi w oczy. Martwy — żyję,
rosnę jak noc, jak powódź,
pochłaniam ziemię smoczym ryjem —
nic jej nie może pomóc.
A teraz z lęku wyzwolę cię,
wyciągnę z naigrawań
i zbudzę. Patrz — to nowy sen —
nie sen — to nowa jawa.
Jestem już tobą — jaźnią, ogniskiem
mistycznej kuli świata,
myślą, swobodą, odgadłym Sfinksem
bytu jądrem i kwiatem.

3. KONTEMPLACJA

Gwiżdżesz hinduską piszczałką wężom,
bielisz się żaglem na jońskiej fali —
nad wędrówkami ludów się palisz
ponad głowami aryjskich mężów.

Tchniesz jeszcze borami sosen i brzóz —
brązem i rumianością
i śnisz fantomami lodowców i kóz
na górskich wysokościach.

I jeszcze szum stepu. Swąd kości w popiele.
Orgazmy. I trupy obdarte ze skóry.
I jesień i gaje bukowe, jak skrzele
zielono-krwistej natury.

A potem narkoza—nektar brzoskwiń —
pałac pająka wodnika —
falują biodra i dzwoni głos krwi
i płomień kolan znika.

I już tylko los, jak na płyty
nagrany na niebieski zodjak
na gwiazd lodowe stalaktyty
i otchłań i melodja —

TADEUSZ DWORAK

GŁOSY

ŻYDZI — LOTNICY

DROGA swobodnego rozwoju indywidualności narodowej była i jest przed żydami zamknięta. Są na wieki chyba skazani na przystosowywanie się, przynajmniej pozorne, do społeczeństw, wśród których żyją. Ghetto, które tak bardzo odgradzało żydów bynajmniej nie jest wymysłem żydowskim, zastosowały je narody — gospodarze, aby jakoś, chociażby zewnętrznie, oddzielić się od przybyszów.

Obecne wciskanie się żydów do samego wnętrza narodów jest silniejsze niż było kiedykolwiek przedtem, a równocześnie silniejsze jest chęć dorównania społeczeństwom rdzennym, chęć zmniejszenia dużej różnicy, jaka się wytworzyła między typem europejczyka — karnego, przedsiębiorczego i rycerskiego, a typem żyda — człowieka wschodu — indywidualisty, o bardzo nieporządnym i przebiegłym sposobie działania.

Zapowiedzi dążenia do zmiany psychyki żydowskiej już mamy.

O ile się można zorjentowbć z faktów i wynurzeń żydowskich ta zmiana będzie polegała m. in. na „produktywizacji społeczeństwa żydowskiego" — czyli poprostu na zwróceniu większej uwagi na skuteczność i racjonalność pracy. Nie wiadomo tylko, czy ci nowi wyznawcy słusznych zasad będą dążyli do ulepszenia wytworu, czy będą walczyć z tandeciarstwem, czy też zwrócą swoje wysiłki w kierunku przyzwyczajenia żyda, aby nie marnował pracy, aby jaknajlepiej wykorzystywał materiał.

W tym duchu prowadzi się pracę w już istniejących i we wciąż nowo powstających zakładach zawodowych utrzymywanych przez specjalne stowarzyszenia „Ort", „Toz", „Wuzet"; w tym celu żydowskie stowarzyszenie inżynierów utworzyło w Warszawie „Grupę przysposobienia praktycznego inżynierów", „której zadaniem jest przygotowanie kadr inżynierów dla potrzeb drobnego i średniego przemysłu, oraz żydowskiego szkolnictwa zawodowego", w tym celu Żydowski Komitet Gospodarczy „organizuje akcję mającą na względzie produktywizację społeczeństwa żydowskiego i wynalezienie nowych źródeł utrzymania dla bezrobotnych".

Żydzi spostrzegli, że w gospodarce trzeba mieć nie tylko spryt, ale i wiedzę fachową i dobrą organizację warsztatu. Chcą dogonić pod tym względem społeczeństwa europejskie, aby swojem zacofaniem nie odbijać zanadto na ich tle, a przedewszystkiem... żeby na tym nie tracić.

Obok tego „gospodarczego" przekształcenia żydów, widzimy i inne—natury moralnej.

Pragną oni dorównać narodom aryjskim w przedsiębiorczości ogólno-życiowej, w odwadze. Nie mówię tu o tworzeniu bojówek *Trumpeldoru*—służą one raczej ku obronie i są naturalnym wynikiem przekształcenia organizacji żydostwa z czysto religijnej—na religijno-polityczną. Mam na myśli masowe, a przytem zorganizowane (dzieje się to bowiem przez szkoły żydowskie) rzucenie się młodych żydów do lotnictwa i spadochroniarstwa. Jest to, jeden i drugi, sport niebezpieczny, a nawet ryzykancki. Skąd się więc wzięło tak odrazu, ni z tego, ni z owego — zamiłowanie do takich „rozrywek"... u żydów?

Nic innego jak tylko znów chęć dorównania społeczeństwom tubylczym, a zarazem ćwiczenie odwagi, które może się przydać w innych okolicznościach. Żyd się przeistacza—nie tylko aby dorównać, ale także, aby panować.

OSAMOTNIONY „ZAKON"

ZAKON „Krzyża i Miecza" stał się w ostatnich dniach głośny przez uchwałę komisji prawnej Episkopatu Polski, która orzekła, że „nie stoi on w żadnym związku z hierarchją kościelną, która też za działalność tej organizacji nie bierze odpowiedzialności".

Dobrze się stało, że z ust najbardziej po temu upoważnionych usłyszeliśmy takie oświadczenie, dotychczas bowiem opinia narodowa i katolicka była wciąż karmiona zupełnie czem innem, czemś co kazało przypuszczać, że pewne sfery katolickie (jezuici) objęły patronat nad tajemniczym zakonem „kultu ofiary i mocy".

Kapitan Polesiński—twórca i „szara eminencja" zakonu powoływał się wciąż na autorytety kościelne, mówiąc, że z entuzjazmem odnoszą się do jego idei wybitni przedstawiciele duchowieństwa. Pokazywał nawet dowody tego poparcia, a mianowicie: odręczne pismo jezuity ks. Jana Rostworowskiego, na karcie tytułowej regulaminu osobistego rycerza zakonu, w którym tenże bardzo pochlebnie wyraża się o regulaminie. Dalszym faktem poparcia „zakonu" przez jezuitów—była wielka przychylność, jaką mu okazały sodalicje mariańskie, którym jak wiadomo przewodzą jezuici, a które zachwycały się organizacją rycerzy krzyża i miecza na łamach swych pism, oraz urządzały kpt. Polesińskiemu zebrania na terenie akademickim, a gdy w dyskusjach młodzież narodowa demaskowała tajemniczą akcję zakonu—sodalisi bronili jej gorąco,

Przypomnijmy jeszcze list jezuity ks. Kosibowicza do naczelnego redaktora Kuriera Poznańskiego, z powodu artykułu Kuriera o zakonie, (pisze o tem „Kurier Poznański" z dnia 15.XII 38 r.). A wreszcie, aby uzupełnić informacje o protegowaniu zakonu przez jezuitów, podam jeszcze jeden szczegół, ale jakże charakterystyczny.

Kpt. Polesiński czuje się w domu zakonnym jezuitów przy ul. Rakowieckiej jak u siebie w domu. Ma klucz od pokoju przyjęć i zaprasza tam sobie ludzi, aby z nimi „pogwarzyć", o swojej organizacji i oszałamiać ich poparciem, jakie ma wśród duchowieństwa katolickiego.

Mieli więc jezuici pełne zaufanie do tego człowieka, skoro oddawali jego akcji i agitacji pokój w swoim zakonnym domu.

Dziś się to wszystko zmieniło, ks. J. Rostworowski złożył oświadczenie, że księża jezuici nie mają patronatu nad „zakonem" i nie biorą zań odpowiedzialności.

Dobrze się stało, że takie oświadczenie usłyszeliśmy, bo byliśmy zaniepokojeni, a nawet bardzo zdziwieni objawami poparcia, jakiem darzył zakon jezuitów—zakon „Krzyża i Miecza".

Drugim protektorem „zakonu", który się też go obecnie wypiera — było jakoby wojsko.

Pamiętamy wszyscy artykuły o krzyżu i mieczu. jakie się w „Polsce Zbrojnej" ukazywały, pamiętamy dobrze atmosferę, jaką dla „zakonu" urabiało to pismo, zamieszczając cały szereg wzmianek o potrzebie mocnego człowieka, a przedewszystkiem widzieliśmy porucznika, a później kapitana Polesińskiego—w mundurze lotnika, jak przemawiał na promocji podchorążych lotnictwa, jak w tym samym mundurze, odbywał zebrania i konferencje „zakonne", ze studentami i z młodzieżą gimnazjalną.

Obecnie „Polska Zbrojna" pisze, że wojsko jest monolitem, nie znoszącym żadnych dobudówek, ani nadbudówek (a więc i rycerskich „zakonów").

„Zakon Krzyża i Miecza" jest więc przez wszystkich opuszczony, szkoda tylko, że tak późno. Mniej by było bałamuctw, gdyby odrazu — sfery wojskowe i katolickie poszły za głosem opinii młodzieży i prasy narodowej, która piętnowała zakon jako organizację o tajemniczych celach, masońskim systemie organizacyjnym i teozoficznej ideologii.

(Z)

SENS POLITYCZNY WYBORÓW DO RAD MIEJSKICH

DOKONANO wyborów do rad miejskich Warszawy, Krakowa, Łodzi, Poznania, Torunia, Grudziądza. Był to jeden z najbardziej ważnych faktów politycznych czasów ostatnich, brzemiennych, niewątpliwie, w skutki. Powtarzamy: p o l i t y c z n y c h, gdyż takie np. hasło: „Precz z polityką w samorządzie!" wysuwane w Warszawie, było pobożnym życzeniem p. Starzyńskiego, który bardziej wierzył w sugestię jednego z najlepiej postawionych resortów magistrackich — propagandy, sławiących komisarskie dokonania, aniżeli w sugestię haseł ozonowych.

Śmiemy twierdzić, że czynniki kierujące państwem pragnęły wyborów politycznych w tym celu, poprostu, by zobaczyć istotne oblicze polityczne kraju, gdyż odsetek ludności biorący udział w głosowaniu do sejmu nie mówił, jak się okazało, nic. *Exemplum*: Poznań. Wynik, natomiast, głosowań niedzielnych był aż nadto wywymowny.

To, że wszyscy wyborcy szli do urny kierując się hasłami politycznymi, widać było po znikomym odsetku głosów oddanych na listy zawodowe, pracownicze i t. p. Zastanówmy się nad tem, co chciano powiedzieć poszczególnemi kartkami.

Kartki oddawane na listy ozonowe były, w przeciwieństwie do innych, pokreślone. Wysuwano jedne nazwiska, usuwano inne. Świadczy to o małem zaufaniu do listy, a poszukiwaniu osób, których pragnęło się obarczyć zaufaniem osobistem. Kreślenie kartek mówi również wiele o elemencie głosującym na listy prorządowe. Był to element inteligencki, urzędniczy, daleki od nurtów ideowych przenikających szerokie warstwy narodu, żyjący atmosferą biura, pilnujący pilnie swego miejsca w hierarchii służbowej, nawet swoim stosunkiem do spraw publicznych.

Listy socjalistyczne zgrupowały wszystkich zwolenników liberalnej demokracji. Oprócz „kadry" partyjnej głosowały na tradycyjną (staruszek socjalizm pilnie już przestrzega tradycji...) „d w ó j k ę" niedoszli członkowie stonnictwa demokratycznego (które jakoś nie może powstać, mimo ustawicznych zapowiedzi), a więc masońska inteligencja, aż po lewe skrzydło „sanacji" włącznie (płk. January Grzędziński, przywódca lewicy legionowej, czołowy publicysta tygodnika „Czarno na białym", jeden z czynniejszych twórców przewrotu majowego). Masowo na „P"PS głosowali żydzi — i dlatego pierwszą literę skrótu nazwy partii piszemy w cudzysłowie — tak, że „dwójkę" nazwać śmiało można listą polsko-żydowską. Nie wyprze się tego zapewne ani partia, ani jej organy prasowe z „Robotnikiem" na czele; w dwóch obwodach urzędujących w jednej, wielkiej sali, gdzie autor niniejszego szkicu pełnił funkcję męża zaufania Stronnictwa Narodowego, mężami zaufania „P"PS byli żydzi. Jeden z nich o typie negroidalnym, mocno prowokujący wyglądem. Żydzi zdają sobie sprawę z tego, iż łatwiej się bronić demokracją i liberalizmem reprezentowanemi przez skupienia polityczne formalnie polskie, aniżeli skupieniami czysto żydowskimi. Dlatego też, były obwody, że listy żydowskie otrzymały 0 głosów, „P"PS natomiast głosów bardzo wiele. Zaznaczamy, że były to obwody w okolicy t. zw. „północnej dzielnicy". A więc „izraelici" ławą z burżuazją kapitalistyczną na czele. Ładne mi proletariackie i klasowe stronnictwo ci socjaliści!...

Proletariat żydowski poparł również socjalizm czy to w formie „P"PS czy „Bundu", który w Warszawie zdobył olbrzymią ilość głosów i mandatów.

I wogóle da się zauważyć wzrost prądów lewicowych wśród żydów, sjoniści np. podzielili się na dwie grupy, które odniosły najzupełniej nikłe sukcesy. Jest to oczywiście posunięcie taktyczne, stawianie w sytuacji coraz bardziej trudnej, na lewicę.

Obóz narodowy poszedł w stolicy rozbity na dwie grupy: Stronnictwo Narodowe i Narodowo-Radykalnych zgrupowanych wokół pisma „ABC". Rozbicie owo zniszczyło sukces, jakiby nacjonaliści mogli odnieść, gdyby szli zblokowani, lub, gdyby się parę lat temu ONR nie odłączył na gruncie warszawskim. Zniszczenie sukcesu — treść tych słów jest aż nadto wymowna. Oczywiście Stronnictwo Narodowe zdołało zgromadzić więcej głosów.

Natomiast na prowincji, wolnej od frond i rozłamów, Stronnictwo odniosło poważne sukcesy, a w Poznaniu nawet wielki sukces, zdobywając na 72 mandatów 52 miejsc w Radzie Miejskiej. Duży sukces w Toruniu i Grudziądzu Stronnictwa Narodowego mówi o zanikaniu na tamtejszym terenie wpływów Stronnictwa Pracy, skupiających dawnych „chadeków" oraz „enpeerowców".

Kraków uzyskał wprawdzie większość lewicową — żydowską, ale zdobycze Stronnictwa Narodowego są tam bardzo duże. Uzyskało ono 10 1 mandatów, podczas gdy w poprzedniej Radzie Miejskiej rozporządzało trzema mandatami. Wagę obecnego sukcesu zdamy sobie całkowicie, gdy uprzytomnimy sobie, że Stronnictwo Narodowe nie miało na tamtejszym gruncie oparcia w tra-

dycji i że przeciw sobie miało blok „ozonowy”, oparty na trzech w Krakowie czynnikach decydujących: oficjalnych, prorządowych, katolickich z ks. metropolitą Sapiechą na czele oraz koncernem „IKC” z b. posłem Dąbrowskim. Mimo to taki ogromny, siedmiomilowy krok naprzód.

W Łodzi przodują żydzi i czerwoni. Na drugim miejscu Stronnictwo Narodowe, które miało najbardziej ciężkie ze wszystkich stronnictw warunki pracy przedwyborczej.

Taki jest bilans dotychczasowych wyborów dokonany w największym skrócie. Powiedziałem, iż będzie on brzemienny w skutki.

Co to znaczy?

To znaczy, że czynniki oficjalne, przyjrzawszy się sytuacji, będą musiały się zdecydować na kurs polityczny. Czy pójdzie po linii kokieterii odłamu demokratyczno-czerwono-żydowskiego, czy na zdecydowaną z nim walkę?

Oto pytanie, na które dziś trudno dać odpowiedź.

Z OBCEGO ŚWIATA

DZIŚ KŁAJPEDA — CO JUTRO?

OD DNI przyjścia do władzy w Niemczech narodowych socjalistów, możemy zaobserwować zjawisko tak śmieszne, jak tragiczne. Oto Trzecia Rzesza w szalonem tempie stwarza fakty dokonane a Europa, mało — świat cały, raz wraz przeciera ze zdziwienia oczy. Ma się wrażenie, że w pewnym momencie rozlegnie się krzyk powszechny: „Na Boga, panowie, wolniej! Przecież nie możemy obmyśleć sposobów reakcji, czasu na to nie mamy”...

Najmniej wytrzymuje owo tempo, dosłownie „zabójcze”—Anglia. Przyzwyczajona myśleć w skali procesów historycznych imperium, kiedy to wskazówki dziejowego zegara obracają się wolno, jest poprostu zaskoczona i nie zawsze może sobie zdać sprawę z tego, co się właściwie dzieje; jej ocena wartości sił dochodzi do wniosków poprostu absurdalnych. Przykład: z największą niechęcią mówią w Londynie o Polsce.

Ostatnio znowu notujemy fakt agresji niemieckiej. *Führer* dr. Neumann w Kłajpedzie zwrócił oczy świata na siebie. Oczy, które zostały oczywiście przetarte ze zdziwienia „piąstkami”. „Kurier Warszawski pisze w korespodencji swej z Paryża: „Dzienniki francuskie zajmuią się żywo sprawą Kłajpedy. Przysłoniła ona wszystkie dotychczasowe zainteresowania prasy i uważana jest za „*clou*” sytuacji międzynarodowej”.

A dalej: „Nowy *Anschluss* musiałby poddać w wątpliwość wartość pokojowych deklaracyj kanclerza Hitlera, który po przyłączeniu Sudetów oświadczył przecież, iż Rzesza nie ma dalszych pretensyj terytorialnych w Europie. W tych okolicznościach prasa tutejsza uważa, że zabór Kłajpedy byłby czymś więcej, niż przejściem dalszych 150-ciu tysięcy ludności pod panowanie Niemców, byłby precedensem o nieobliczalnych następstwach”.

Wartość pokojowych deklaracyj kanclerza Hitlera możemy zmierzyć oświadczeniem, które złożył na ręce posła Czechosłowacji w Berlinie w parę dni po przyłączeniu do granic Rzeszy krajów austriackich. Czechosłowacja — przypomnijmy sobie—została wówczas uspokojona w sposób aż nadto dostateczny a, jak dzisiaj widzimy, aż nadto wymowny.

Nie wolno się łudzić. Ani nam, ani nikomu. Pierwszym celem polityki Hitlera jest zjednoczenie wszystkich ziem etnicznie niemieckich. To można czynić w imię sprawiedliwości, zasady samostasowienia narodów o sobie, czem kto chce. Czem chce Anglia, Francja dla zamydlenia sobie oczu.

Dość już chyba zdziwień powszechnych, dość owych przecierań oczu, zwłaszcza zamydlonych. Na mydło najlepszem lekarstwem zimna woda, a na wroga nie „piąstka” niewinna, ale pięść.

ZWYCIĘSTWA I TROSKI DALADIERA

Złamanie niedawne strajku we Francji to wydarzenie na miarę tak niezwykłą, że nie wolno przejść obok niego bez słowa uwagi. Ktoś określił zarządzenia Daladiera poprostu jako przewrót—gdyż jak republika republiką tak mocnej ręki nikt jeszcze nie położył na rozwydrzonej wolności.

Zwycięstwo pełne, a metody, któremi je osiągnięto staną się zapewne precedensem. Tu leży istota owego „przewrotu”. (Nie wahamy się przytoczyć mocnego określenia).

A swoją drogą sprawa dekretów min. Reynaud jest wcale ciekawa. Z wielu względów, a także ze względu na historię pełnomocnictw, które je zrodziły. Otrzymał je początkowo Marchandeau, na krótki zresztą przeciąg czasu, i padł. Po p. Marchandeau przyszedł p. Reynaud z koncepcją diametralnie inną, aniżeli ta, którą posiadał jego poprzednik, skorzystał jednak ze starych pełnomocnictw, tyle że z czasem na ich wykorzystanie znacznie skróconym. Stąd „bomby” dekretów i czerwony wybuch pasji bezsilnej. A skutek? Niewiadomo, jaki owoc wydadzą reformy finansowe, to jednak pozytywną ma wartość, że wzmocnił się na wewnątrz autorytet władzy.

A to niezwykle w tej chwili jest potrzebne. Jak bardzo, świadczą o tym manifestacje rzymskie pod hasłami „zwrotu“ Korsyki, Dżibuti, Tunisu i Sabaudii.

Zastanówmy się chwilę nad treścią tych okrzyków. Czcza manifestacja? Nie. To zakreślenie planu zcalenia obszarów włoskich, zapatrzenie się na taktykę Berlina, scalającą wszystkie narodowe niemieckie obszary w jedną państwową całość! „Cele Włoch — pisze jeden z czołowych publicystów włoskich w komentarzu do mowy hr. Ciano, źródła manifestacji rzymskich—to objęcie swemi granicami każdego skrawka ziemi, na którym mieszkają ludzie, należący do naszego narodu i mówiący naszym językiem. Celom tym przeciwstawiają się plutokratyczne interesy innych państw, a obecny podział posiadłości kolonialnych jest utrzymywany nie tyle dla własnych interesów posiadaczy kolonii, ile raczej dla przeszkodzenia naszym zamierzeniom politycznym”.

Ktoś może powiedzieć, że żądanie Dżibuti i Tunisu, wykracza już poza program narodowy a wkracza na tory polityki imperialistycznej, po której, zresztą Włochy otwarcie, programowo dążą. Odpowiemy: i tak i nie. Tunis np. został

bardzo umiejętnie nie tylko zagospodarowany ale i zaludniony przez Włochów, którzy od dawien dawna kolonizowali jego obszary, zamieniając je powoli, drogą procesu organicznego, w terytorium narodowo-włoskie—jeśli tak z dużą dozą przesady można powiedzieć. Stąd pretensje i stąd strach Francuzów. Jeszcze jeden dowód, jak rozkład moralny ideologii masońskiej, niszcząc siły narodowe, doprowadza w końcu do konieczności obrony zagrożonych pozycji, które z wiarą w zwycięstwo atakuje naród zdolny, nie ideałowi kwietyzmu hołdujący, ale opanowany pragnieniem wielkości i potęgi.

W odpowiedzi na manifestacje włoskie, ulicami Paryża poczęły przeciągać pochody żądające przyłączenia do Francji Wenecji. Żądanie to miało wykazać całą absurdalność agresywnych okrzyków rzymskich. Ale Rzym nie przejął się ironią Francuzów. Ani na chwilę. Natomiast Daladier musi się przejąć oświadczeniem premiera Chamberlaina w Izbie Gmin, który w odpowiedzi na interpelację oświadczył, że Wielka Brytania nie ma umownego zobowiązania wobec Francji w razie agresji włoskiej a „... na dodatkowe zapytanie pos. Morgana, czy oznacza to, że premier w podróży do Rzymu będzie posiadał wolną rękę, o ile chodzi o poświęcenie interesów francuskich, aby wysunąć interesy brytyjskie, premier Chamberlain nie udzielił odpowiedzi" (PAT).

Paryż jest podenerwowany. Nic dziwnego. Donoszą o zarządzeniach wojskowych w Tunisie, Jedyna odpowiedź, która może być uznana za odpowiedź z prawdziwego zdarzenia. Bardziej, anіżeli subtelna ironia, wyrażająca się w żądaniach przyłączenia do Francji Wenecji. Dowcip może przejść do historii, ale broń robi historię.

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Henryk Życzyński. Twórczość Karola Huberta Rostworowskiego. Lublin—Uniwersytet. Tow. Wiedzy Chrześc. T. 41. 1938. Str. 64. Odb. z mies. „Prąd".

Autor, prof. Katolickiego Uniw. w Lublinie, przeprowadził w swojej broszurce rozbiór utworów dramatycznych Rostworowskiego w porządku chronologicznym pod kątem moralności chrześcijańskiej z punktu widzenia estetyki dramatu, szczególnie zaś motywacji greckiego tragizmu.

W życiu dramaturga dwie daty miały dużą wagę ze względu na wpływ, jaki wywarły na jego twórczość. Oto krótko przed wojną Rostworowski dostąpił łaski religijnego nawrócenia, wojna zaś rozbudziła w nim uczucia gorącego patriotyzmu. Nawrócenie otworzyło w jego duszy źródła natchnienia artystycznego, stając się w swych skutkach zbawiennem także i dla poezji.

Jak wiemy, nawrócenie Mickiewicza miało decydujący wpływ na jego dalszą twórczość. Słowacki ze wzruszenia głównie religijnego, nawiedzenia Grobu Chrystusa i rekolekcyj na Libanie, wyprządł swego „Anhellego".

Drugą przełomową datą w życiu Rostworowskiego jest z wielu względów r. 1926.

Dotychczasowa jego, a powojenna twórczość dramatyczna: „Miłosierdzie" (1920), „Straszne dzieci" (1922), „Zmartwychwstanie" (1925) — apelowała do sumienia społeczno-narodowego mas, dążąc do swoistego ich, w pewnym duchu kształtowania. Jako przesłankę przyjmowała wolną ich wolę, jako czynnika twórczego w zbawianiu siebie, odpowiedzialnego za całość narodowej budowy.

Te przyrodzone uprawnienia każdego cywilizowanego społeczeństwa stały się dla nas od owej daty przełomu mitem. Więc i twórczość wieszcza, nastawiona na zdyscyplinowanie moralne i narodowe mas, przestała być aktualną.

Rostworowski nie rezygnuje jednak ze swej roli. Jego celem staje się zorganizowanie narodu od wewnątrz, poczynając od indywidualnego sumienia, którego mroki i tajnie wyświetla w swej słynnej trylogii: („Niespodzianka", „Przeprowadzka", „U mety").

Prof. Życzyński robi na kartkach swej ciekawej pracy rozbiór jednej z ostatnich koncepcyj dramatycznych Rostworowskiego p. t. „Czerwony marsz" (1932—1936), naogół prawie wcale jeszcze przez krytykę nie omawianej.

Wspomina zbiór liryk p. t. „Zygzaki" (Poznań 1932), uderzających aforystycznie nieomylnem ujęciem religijnej i patriotycznej mądrości

(„Z sumienia swego uczyń biel,
amarant z krwi serdecznej
i pod Ojczyzny stopy ściel
białoczerwony trud i cel,
a sztandar stworzysz wieczny!"

a to wtedy,

„Gdy z lewej wróg i z prawej wróg").

Rostworowski, doznawszy łaski nawrócenia, pozostawał w tym stanie duchowej równowagi bez zakłóceń natury moralnej — i to dawało pewną jedyność i nieomylność jego ręce dramaturga, kreślącego gotowe w swym kształcie moralnym charaktery, zaskakiwane tylko przez nieoczekiwane wybryki ślepego losu.

Swoje uczucia religijne formułuje on następująco:

„Panie mój! Choć zapalisz i gasisz gwiazd krocie,
serce ludzkie zapalisz tylko na Golgocie!"

Nastrój duszy, co odnalazła drogę, wróciwszy do wiary lat dziecinnych, ciśnie poecie na usta słowa pełne wzruszenia:

— Dziś oto wracam, Jezu Chryste,
w matczyne, dawne strony,
by kolędować: „Masz, zaiste,
granice Nieskończony!" —

Z prac, po śmierci wielkiego poety wydrukowanych, na czoło wybija się subtelna rozprawka prof. Życzyńskiego.

ST. J.

Z RUCHU KULTURALNEGO

Staraniem Polskiego Tow. Opieki nad Kresami odbył się u Techników uroczysty obchód XX-ej rocznicy walk w obronie Lwowa. Sala wypełniona była po brzegi.

Na wstępie Chór Akademicki wykonał utwór „Orlęta". Przemówienie okolicznościowe, na tematy związane z Rusią Zakarpacką wygłosił mec. dr. H. Szurlej, po czym mówiła p. M. Opieńska. Znana pianistka p. Lucyna Robowska z frenezją odegrała Poloneza „As-Dur" Szopena.

W drugiej części art. Op. Warsz. p. H. Stecka odśpiewała arię z opery „Zygmunt August" Joteyki, Niewiadomskiego „Rozlegnij się", *de crescenza* „Jaskółka". Art. Op. Warsz. p. T. Łuczaj wykonał Moniuszki: „Poloneza" i „Pieśń rycerską" oraz Friemana „Pieśni junaka". Potem jeszcze raz wystąpiła p. Robowska, grając Paderewskiego „*Intermezzo Polacco*" i „Krakowiaka fantastycznego". Poczem usłyszeliśmy: Karłowicza „Pamiętam ciche jasne dni" i nakoniec Szopena „Mazurek" — odegrane przez p. H. Zubowską. Na pożegnanie śpiewa Chór Akademicki.

(S. J.)

LIST DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Doszło do mojej wiadomości, że mój wiersz p. t. „Trupi taniec", umieszczony w nr. 47 „Myśli Narodowej", wywołał w niektórych kołach katolickich wrażenie ujemne.

Uważam sobie za obowiązek wyjaśnić, że nie było w mojej intencji nic, co by w najmniejszym stopniu mogło urazić uczucia katolickie.

Gdyby zaś w mojej stylizacji motywów sztuki średniowiecznej mogło się zdarzyć tu i owdzie jakieś przykre przejaskrawienie, to nie pozostaje mi nic innego, jak wyrazić z tego powodu szczere ubolewanie

Z prawdziwym szacunkiem

ARTUR CHOJECKI

Warszawa 17.XII.1938 r.

Ś. † P.

JÓZEFA Z ERETHYCH

STANISŁAWOWA

STARŻA MAJEWSKA

Po długich i ciężkich cierpieniach opatrzona św. Sakramentami, zmarła dnia 21 grudnia 1938 r. przeżywszy lat 72.

Wyprowadzenie zwłok z domu przy ulicy Smolnej nr 23 odbędzie się w czwartek dnia 22 b.m. o godz. 17 m. 30.

Nabożeństwo żałobne w Kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach odbędzie się w dniu 24 b.m. w sobotę o godz. 11 rano, po którym nastąpi złożenie zwłok do grobu rodzinnego, o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Mąż, Dzieci, Siostry, Synowa, Zięciowie, Wnuki i Rodzina.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.